

Ballada o życiu Pana Aptekarza



Wspomnienia magistra farmacji JANA KACZKOWSKIEGO – nestora polskiego aptekarstwa

Wybuch wojny zastał mnie w Kutnie. Od kilku lat pracowałem tam w aptece należącej do mgr Cz. Chacińskiego. Pracę w niej podjąłem jako młody farmaceuta, wkrótce po ukończeniu studiów na Oddziale Farmaceutycznym Uniwersytetu Poznańskiego w 1933 roku. Właściciel zmarł jeszcze przed wojną, a aptekę dalej prowadziła wraz z matką jego córka Zofia, która była farmaceutką. Pracował w niej już wcześniej mgr Machnowski.

10 września apteka w Kutnie została zbombardowana w czasie nalotu na miasto. Trwały ciężkie walki obronne w tym rejonie. Niemieckie wojska nacierały w kierunku Warszawy. Gruzy apteki płonęły – zgodnie z otrzymanym rozkazem, każda apteka musiała w ramach mobilizacji zrobić zapasy środków opatrunkowych i spirytusu do dezynfekcji ran. Nasze kilkadziesiąt litrów zapaliło się i podpaliło regały i suszone zioła. Przed apteką i przed stołem ekspedycyjnym leżało kilkoro zabitych. Bomby zniszczyły również sąsiednie kamienice.

Panowała cisza, rynek był wyludniony. Dzień był piękny, pogodny.

Widzę, że przy aptece kręcą się jakieś postacie, włączą przez okno i zasypały wejście do środka i coś wynoszą w szufladach aptecznych. Wróciłem na gruzy apteki, za chwilę zjawił się pan Machnowski, potem pani Zofia – zorientować się w sytuacji, co można uratować. Bomba całkowicie zburzyła środkową część budynku, aż do piwnic, wraz ze stropami i ścianami wewnętrznymi. Praktycznie wszystko zostało zniszczone.

Zostałem w Kutnie jeszcze z miesiąc. Myśląc o tych wszystkich wydarzeniach uświadomiłem sobie, jak krucho są wszelkie plany ludzkie. Przecież wtedy całkowicie przypadkiem omal nie zginąłem, i tylko przez przypadek ocalałem!

W pewien czas potem, już po wkroczeniu Niemców do Kutna, podszedł do mnie na mieście znajomy urzędnik magistratu. Przekazał mi wiadomość, że państwo Chacińscy znajdują się na przygotowanej przez Niemców liście do wysiedleń. Natychmiast powiadomiłem panią Chacińską o tym niebezpieczeństwie. Sam również spakowałem się zaraz i wcześniej rano poszedłem na stację, by wyjechać.

Pojechałem do Warszawy. Poszedłem do Izby Aptekarskiej. Izba Aptekarska działała jeszcze z przedwojenną obsadą. Zgłosiłem, że szukam jakiegoś zatrudnienia. Dali mi do wypełnienia obszerną ankietę. Między innymi było pytanie, czy zna języki obce. Wpisałem, że niemiecki, ale słabo. W rzeczywistości mówiłem po niemiecku biegle, ale wolałem tego nie podawać.

Poszedłem również do jednej z aptek, gdzie wiedziałem, że są nasi poznaniacy. Jeden z nich powiedział mi, że przed kilkoma dniami był u nich kierownik apteki z Łukowa, mgr Radziński. Objął tam posesję wraz ze swoją żoną, po tym jak został bez pracy po wysiedleniu ze swojej apteki w Rydułtowach, które zostały włączone do Rzeszy. Okazało się, że jego żona to też poznanianka. Radziński szukał farmaceuty do swej apteki. Gdy się o tym dowiedziałem, pojechałem do Łukowa. Były tam dwie apteki. W jednej kierownikiem był właśnie mgr Radziński, drugą kierowała kobieta. Przychodzę do apteki Radzińskiego, a tam widzę ogromny ogonek, napierający na wejście do apteki. Od czasu do czasu przychodzi żandarm i robi porządek. Aby się zorientować w sytuacji, siadłem pod oknem na ławeczce i zacząłem się przyglądać. Siedziałem tam dłuższą chwilę, a tam pełno ludzi. Wszyscy nieustannie krzyczą i wymachują receptami. Przy stole ekspedycyjnym jeden pracownik. Później okazało się, że to był właśnie mgr Radziński. Druga osoba to była opisywaczka, wykonująca też inne pomocnicze czynności. Ale obsługiwał tylko Radziński. Wydawał lekarstwa, taksował recepty. Gdy tylko podniósł głowę znad stołu, natychmiast wszyscy ludzie wyciągali ręce z receptami i każdy krzyczał, aby to jego właśnie załatwić. Myślę sobie, że ja bym tu chyba długo nie wytrzymał, w takim młynie. Umówiłem się z kierownikiem na wieczór i wyszedłem na Łuków, aby popatrzeć na miasto. Przechodzę koło drugiej apteki w tym mieście, a tam pusto,

drzwi otwarte, a w nich stoi pracownik apteki w białym kitlu. Kiedy wróciłem wieczorem do Radzińskiego, pytam, dlaczego tam tak pusto, skoro tutaj taki tłum klientów? Okazało się, że kierowniczką tamtej apteki nie jest dostatecznie zaradna i nie umie postarać się o zaopatrzenie. Tamta apteka prawie wcale nie miała towaru. Bo oczywiście wtedy leków nie można było po prostu zamówić, tak jak w normalnych warunkach. Trzeba je było w różny sposób załatwić, skombinować. Radziński pochodził z zaboru niemieckiego. Kończył szkoły w Katowicach i znał doskonale język niemiecki. Więc gdzie tylko pojechał, to potrafił się dogadać i załatwić. A jeździł ciągle, i po małych miejscowościach, gdzie były jakieś hurtownie, i do Warszawy.

Zdecydowałem się podjąć tam pracę.

Radziński, aby nieco uporządkować ruch klientów, zamontował wzdłuż stołu miedzianą barierkę, wymuszającą pojedynczą kolejkę. Dalej więc, głównie ja wraz z kierownikiem, obsługiwaliśmy pierwszy stół. Jednak taka praca była bardzo wyczerpująca i zdecydowany byłem znaleźć coś innego. Po pewnym czasie od mojej wizyty w Izbie Aptekarskiej, w nadal wychodzącym piśmie „Farmacja Polska”

ukazała się odezwa Apothekenkammerleiter'a – niemieckiego kierownika Izby Aptekarskiej. Zwracał się w niej z apelem „do wszystkich aptekarzy Generalnej Gubernii” o zatrudnianie farmaceutów wysiedlonych z terenów włączonych do Rzeszy i poszukujących pracy. Była

też ogłoszona lista farmaceutów pozostających bez pracy. Znalazło się na niej również moje nazwisko. Był to skutek wypełnionej ankiety.

Wkrótce napłynęło do mnie aż pięć ofert pracy. Wybrałem aptekę najbliższą rodzinnego Radomia, w Starachowicach. Tak więc po pięciu miesiącach pracy w Łukowie przenieśliśmy się do apteki mgra Świderskiego, w Wierzbniku-Starachowicach. Pracowałem tam przez po-

stem chory na zaawansowaną gruźlicę. Wiedziałem, że muszę zniknąć z tego terenu, nie czekając na reakcję na moją odpowiedź, jednak nie wiedziałem, dokąd się udać.

Wybrałem Przemysław. Powiedziałem o swoich planach panu P. Poprosił mnie, abym rozejrzał się tam również za spokojniejszą pracą dla niego.

W końcu stycznia pojechałem do Przemysła. Postanowiłem porozglądać się po mieście i może zasięgnąć języka

w którejś z aptek. Znalazłem aptekę „Pod Wieżą Zegarową”, w centrum Przemysła. Zadzwoeniłem do apteki. Okienko uchylił dyżurujący farmaceuta. Pytam go, jak jest tu z aptekami. Uciekłem z Generalnej Guberni i szukam pracy. Czy tu jest jakaś apteka do wzięcia? On pomyślał chwilę i mówi: owszem, jest Apteka nr 12. Dotychczasowa kierowniczka dostała wypowiedzenie, bo nie jest magistrem farmacji, tylko pomocnicą aptekarską. Niemcy potrzebowali farmaceutów z tytułem magisterskim.

Rano pojechałem do Lwowa rozecznać sprawę w zarządzie aptek. Wszedłem do biura, gdzie urzędowało kilka osób. Nagle jedna z urzędniczek powiada: „A, to pan Kaczkowski!”. Zdziwiłem się i pytam, skąd ona mnie zna. Okazało się, że studiowała farmację w Poznaniu i zna mnie z uniwersytetu.

Była to pani mgr Czyżowicz. Potwierdziła, że Apteka nr 12 w Przemysławie jest do objęcia. Wyszedłem stamtąd z rozporządzeniem objęcia Apteki Nr 12.

Wróciłem znów do Przemysła obejrzeć tę aptekę. Miała ona nazwę „Apteka pod Koroną”, wypisaną na ▶



nad półtora roku, od kwietnia 1940 r. do końca roku 1941. Pod koniec 1941 roku dostałem z Warszawy wezwanie do stawienia się do pracy w Rzeszy. Nie chciałem jechać do Niemiec, ale takie wezwanie było praktycznie obligatoryjne. Zdecydowałem się jakoś wykryć. Odpowiedziałem, że je-

▶ witrach przy wejściu. Mieściła się przy ul. Dworskiego, na rogu ul. Smolki. Przedstawiłem się kierownicze, pani Z., jako nowy kierownik, pokazałem moje skierowanie oraz zobowiązanie dla niej do przekazania apteki. Zapoznałem się pobieżnie z apteką. Była niezłe zaopatrzona w towar. Powiedziałem, że teraz muszę jeszcze wrócić do Radomia, aby się przygotować do przeprowadzki i że za jakiś tydzień wrócę. Na ten czas wyznaczyłem ją jako swego zastępcę. I tak się stało. Okazało się, że zrobiłem wielki błąd. Po powrocie stwierdziłem, że pozostały tylko niewielkie ilości towaru, naczynia były niemal puste. Dotychczasowa kierowniczka zaklinała się, że nic nie ubyło od mojej poprzedniej wizyty oprócz normalnej sprzedaży. Była to oczywista nieprawda. Ja przed wyjazdem nie zrobiłem remanentu i to się na mnie zemściło. Ale miałem trochę pieniędzy uzbieranych z pracy. Wyłożyłem więc swoje pieniądze, pojechałem do Krakowa, do Warszawy i sprowadziłem towary. A remanent zrobiłem, niestety, dopiero potem, po powrocie do Przemysła.

W aptecę, gdy ją objąłem, pracowały oprócz pani Z. jeszcze dwie Ukrainki. Był także laborant – pan Teodor, pracujący w niej jeszcze od przed wojny. Pracowników-Żydów Niemcy nakazali wcześniej zwolnić. Personel był więc osłabiony.

Zamieszkałem w pokoju dyżurnym apteki i zacząłem prowadzić aptekę. Dowiedziałem się, że w mieście tylko dwie czy trzy apteki należały przed wojną do Polaków – mgra Bojarskiego na Bakończycach koło kościółka, druga na Słowackiego. Żydom Niemcy apteki odebrali. Oddawali w prowadzenie farmaceutom ukraińskim i polskim. Kilkaset metrów obok, przy ul. Grotgera, była apteka tzw. „ubezpieczalni”, przedwojennej kasy chorych. Naturalnie poszedłem tam, by się przedstawić i poznać się z kierownikiem. A tam wychodzi kolega mój z Poznania, mgr Stańczak, który studia kończył rok przede mną! Zaraz poczułem się lepiej. Od Stańczaka dowiedziałem się już wszystkiego, co chciałem wiedzieć o Przemysłu i o miejscowych aptekach. Kolega Stańczak prowadził aptekę odległą zaledwie o paręset metrów od mojej; często

się odwiedzaliśmy. Praca w aptecę szła dobrze, stosunki z innymi aptekami też układały się poprawnie.

W aptekach w tym czasie zwykle nie zatrudniało się sprzątaczek – kobiet. Zamiast tego był mężczyzna, tak zwany „laborant”. Oprócz sprzątania był on uniwersalnym pracownikiem do prac fizycznych i prostych czynności manualnych. Leki przychodziły w olbrzymich drewnianych skrzyniach, które trzeba było przenosić, odbijać i rozpakowywać. Laborant dawał sobie także świetnie radę ze sprzątaniami i pracami porządkowymi. Wtedy w aptecę na półkach stały same naczynia apteczne – porcelanowe słoje na maści i chemikalia, szklane na nalewki, tinktury, olejki eteryczne, ekstrakty. Nie tak jak teraz, „gdy półki zapchane są gotowymi specyfikami. Specyfiki, stosunkowo nieliczne, leżały w oddzielnych oszklonych szafkach lub szufladach w pokoju ekspedycyjnym. Wtedy szanujący się lekarz pisał własne recepty na leki złożone, które przygotowywało się w aptecę. Ale do tego trzeba było znać dobrze chemię i właściwości substancji. W aptecę robiło się też syropy, różne pigułki, czopki, nalewki. Specjalnością w aptecę „Pod Koroną” były plastry na odciski, które tam wprowadziłem według oryginalnego przepisu. Zdobyły sobie dużą popularność. Dla celów – jak to się dziś nazywa – promocyjnych robiło się też cukierki ślazowe czy miętowe, przechowywane w słojach, które po kilka dawało się klientom w torebeczce. Laborant dwa – trzy razy w tygodniu zdejmował wszystkie naczynia półka po półce, wszystkie wycierał szmatką, potem inną szmatką przecierał półki i ustawiał naczynia na miejsce. Kobiety wynajmowało się tylko do szorowania podłóg.

W Przemysłu razem z apteką przejąłem także laboranta – pana Teodora, zwanego żartobliwie Teodorciu. Pracował w niej jeszcze od przed wojny. Miał ukończoną tylko jedną klasę szkoły podstawowej, ale był inteligentny i dowcipny, a przy tym obowiązkowy i niesłychanie sprytny i obrotny. Jak trzeba było wypełnić jakąś ankietę, to zawsze prosił: „Panie aptekarzu, proszę napisać, że mam dwie klasy, dwie!”. Odpowiada-

jąc kiedyś na obowiązkową ankietę, na pytanie o narodowość powiedział: „Panie aptekarzu, co mam wpisać? Ja należałem i do związku Polaków, i do Ukraińców, i do Żydów. Ja dostawałem u nich wszystkich przydziały”. Teodorciu był w tej aptecę zatrudniony bodajże najdłużej ze wszystkich pracowników, bo pozostał w niej również po wojnie, aż doczekał w niej emerytury już w latach siedemdziesiątych.

W dni targowe zjeżdżało do miasta mnóstwo furmanek z produktami rolnymi na sprzedaż. Wtedy też apteki miały wyraźnie zwiększony utarg. Chłopi kupowali praktycznie wyłącznie dwie rzeczy – pijawki i „krople maciczne”. Teodor stał cały dzień przy słoju z pijawkami i dużą łyżką wyławiał i nakładał pijawki do słoiczków. Sprzedawało się wielkie ilości pijawek. Chłopi stosowali je na wszystkie choroby. Przykładali za ucho, jak bolała głowa, na rękę – jak ręka i na nogę – jak noga. Pijawki dostarczali lokalni dostawcy bezpośrednio do apteki, w słojach z wodą. Przychodziły również z hurtowni pocztą, normalną zwykłą przesyłką pocztową. Były pakowane po sto sztuk w luźnych woreczkach lnianych, obłożonych z obu stron dwoma woreczkami z mokrym torfem. Przychodziły w doskonałym stanie nawet po dwu, trzech dniach podróży, wszystkie żywe. Mycie pijawek było codziennym obowiązkiem laboranta, także w niedzielę. Wylewał je do dużej miski, mył słoje i napełniał go czystą wodą, potem mył pijawki i przekładał je do słoja. Często „pomagał” mu przy tym mój 3 – 4 letni wówczas syn, Andrzej. Kiedyś na białej bluzce syna pojawiła się duża plama krwi. Żona bardzo się wystraszyła, że to jakaś poważna rana. Po zdjęciu bluzki okazało się jednak, że gdy asystował laborantowi przy myciu pijawek, jedna z nich wślazła rękawem aż do tułowia. Teraz była olbrzymia. Opiła się tyle krwi, że już nie mogła jej utrzymać, stąd krew. Napitą pijawkę łatwo było odczepić.

Przydarzyła mi się też kiedyś reklamacja co do działania pijawek. Przychodzi gospodarz i mówi: „Panie, ja tu brałem w tamtym tygodniu pijawki. Żona zjadła wszystkie trzy i nic jej nie pomogło!”

„Krople maciczne” były robione na bazie waleriany z dodatkiem gencjany i gorzkich tinktur. Przeznaczone były na bolesne miesiączkowanie, na żołądek, na uspokojenie. Ale były kupowane przez chłopów w wielkich ilościach, stosowali je jako lek uniwersalny na wszystko. Podobnie zresztą było w innych częściach kraju. Każda apteka miała „krople maciczne” – i w Radomiu, i w Kutnie, i w Starachowicach. Kiedyś niedługo po objęciu apteki w Przemyślu, gdy kolejny chłop kupował te krople, przygotowując flakonik do wydania (wtedy nie było zakrętek, każdą flaszeczkę zamykało się dopasowywanym korkiem, owijało papierowym kapsłem i zawiązywało szyjkę sznurkiem) zagadnąłem go: *„To bierze pan pewnie dla żony?”* A on odpowiedział: *„Nie, to dla mnie, bo mi macica pod krzyż podeszła!”* Zdziwiony, mówię mu, że przecież mężczyzna nie ma macicy, mają ją tylko kobiety. Na co on z politowaniem: *„Panie, szkoda, żeś pan taki uczony, nawet pan nie wiesz, że mężczyzna ma macicę!”*

Chłopi zwracali się do aptekarza najczęściej „panie aptekarzu”, rzadziej „panie magistrze”. Ale słyszało się także „panie magistracie”, „panie mecenasie”, czy też „panie misjonaszu”.

Zarówno w Starachowicach, jak i w Przemyślu działały silne ugrupowania podziemne. Mimo że formalnie nie należałem do AK (wtedy funkcjonowała nazwa „chłopcy z lasu”, a w Świętokrzyskim również „Jędrusie”), to wielokrotnie przychodziło mi z nimi współpracować. Szczególnie dotyczyło to zaopatrzenia w medykamenty, ale też np. pomocy w przechowywaniu i ukrywaniu ludzi.

W „Aptece pod Koroną” organizowane były, co pewien czas spotkania kierowników aptek. Omawiało się na nich nie tylko sprawy zawodowe, ale i polityczne. Był też na nich kontakt z polskim podziemiem: przychodzili oficerowie łącznikowi z partyzantki, zawsze pojedynczo. Apteki zaopatrywały podziemie bezpłatnie w leki, przede wszystkim w materiały opatrunkowe i dezynfekcyjne. Na spotkaniach ustalano harmonogramy dostaw i sposób kontaktu. Wielokrotnie zdarzało się, że przychodził do apteki człowiek – czasem ten sam, czasem

inny – i wręczał mi zamówienie na leki. Nigdy nie przedstawiał się i nie dawał wyjaśnień, ale wiadomo było, że to „ludzie z lasu”. Zabierał przygotowaną paczkę, mówił „Dziękuję” i zniknął.

Niemcy prowadzili na zajętych terenach politykę gospodarczą polegającą na ograniczaniu własności polskiej i wyznaczaniu przymusowych zarządów, tzw. Treuhandstelle. W szczególności apteki podlegały tzw. Apothekenverwaltung-om, zarządom aptek. Dla Przemyśla zarząd taki znajdował się we Lwowie.

Przemyśl po działaniach wojennych był bardzo zniszczony. Także wojenne straty ludności były bardzo duże, oblicza się je na 57% narodowości polskiej i niemal całą ludność narodowości żydowskiej. Na początku 1945 roku miasto liczyło tylko ok. 28 tys. mieszkańców.

Apteki w zasadzie funkcjonowały w dotychczasowych strukturach, przejętych teraz przez nowe władze polskie. Nie obyło się bez zmian personalnych, jednak w Przemyślu nie były one duże. Ja w dalszym ciągu byłem kierownikiem apteki „Pod Koroną”. Pracowałem jako dzierżawca, aż do upaństwowienia aptek w styczniu 1951 roku, aż do przeniesienia mnie do Centrali Aptek Społecznych, tzw. CAS-u.

W Aptece „Pod Koroną” był bardzo oryginalny, duży kwadratowy zegar, z wymalowanymi na porcelanowym cyferblacie różnymi roślinami leczniczymi zamiast cyfr. Umieszczony był najpierw w witrynie nad wejściem do apteki, potem został przeniesiony do środka. Kiedyś, około roku 1950, przyszedł do apteki farmaceuta z Krakowa. Poprosił o podarowanie zegara do organizowanego w Krakowie muzeum farmacji. Wydałem mu ten zegar, choć nie miał żadnego oficjalnego pisma w tej sprawie. Nie zostawił żadnego potwierdzenia, ani go też nie przysłał. Nigdy już tego zegara na oczy nie zobaczyłem. Nie wiem, co się



z nim stało. Być może, trafił rzeczywiście do muzeum. Wiem, że przy Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego powstało Muzeum Historyczne Aptekarstwa Polskiego. Wyczytałem nawet, że większość eksponatów zebrał dla niego dr Stanisław Proń, który odwiedził w tym celu ponad tysiąc aptek. Być może, to właśnie był on. Niestety, nigdy nie udało mi się zwiedzić tego Muzeum.

A jak wyglądało upaństwowienie? Już dobrze nie pamiętam szczegółów. Chyba zaraz po godzinie 8.00, tuż po otwarciu apteki, przyszła komisja. Pokazali pismo, że mają przeprowadzić remanent. No i zamknęli aptekę, i zrobili remanent. Ustawa o upaństwowieniu była zrobiona w tajemnicy, nikt nic nie wiedział. Chyba to było tak, że poprzedniego dnia władze miejskie otrzymały dyspozycje o uruchomieniu od rana komisji inwentaryzacyjnych, a dopiero gdy te już remanenty rozpoczęły, został ogłoszony tekst ustawy o upaństwowieniu aptek w całej Polsce. Oczywiście po zakończeniu remanentu apteki były już państwo- ▶



we i ich majątek przejęło państwo. 8 stycznia 1951 roku upaństwowiono w ciągu jednego dnia około 1500

proponował objęcie stanowiska dyrektora mającego powstać nowego zarządu aptek w województwo rzeszowskie. W tym celu powinienem pojechać do Warszawy i podpisać odpowiednią umowę. Ale musiało

to być załatwione

natychmiast, jeszcze dziś. Wyjazd najbliższym pociągiem. Ja nie bardzo chciałem się tego podjąć, żona płacze, bo – jak wtedy myśleliśmy – wymagało to przeniesienia się do Rzeszowa. Ale wobec nalegań przedstawiciela, w końcu zgodziłem się pojechać. Więc przez całą noc jedziemy do Warszawy.

Przychodzimy na miejsce, a tam już cała grupa kandydatów z innych miast. Po kolei wchodzili do podpisania umowy. Gdy przyszła moja kolej, powiedziałem komisji, że po przemyśleniu sprawy nie zgadzam się na objęcie tej funkcji.

Centrala Aptek Społecznych została utworzona bodajże z końcem roku 1950, i to z siedzibą w Przemyśle. Powierzono mi w niej stanowi-

sko Kierownika Działu Instrukcyjno-Organizacyjnego. W 1953 czy 54 roku zmieniono jej nazwę na „Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Aptek P.P w Przemyśle”. Pracowałem tam aż do reorganizacji struktury zarządów aptek i likwidacji CAS w Przemyśle w 1956 roku, którego funkcję przejął Rzeszowski Zarząd Aptek z siedzibą w Rzeszowie. Potem wróciłem do pracy w aptecę. Jednak już nie do Apteki Społecznej Nr 61 (potem Nr 101) przy ul. 1 Maja, jak teraz nazywała się Apteka „Pod Koroną”, tylko najpierw jako kierownik apteki przy ul. Franciszkańskiej (wówczas noszącej już nazwę „Stalingradzkiej”), a następnie jako zastępca kierownika przy ul. Grotgera. W niej pracowałem do czerwca 1960 roku, kiedy to wraz z rodziną przeprowadziliśmy się do Wrocławia, gdzie objąłem kierownictwo Apteki Nr 123 na Brochowie. Ale to już inna historia. ■

Grudzień 2006

Wspomnienia Ojca spisał

Andrzej Kaczkowski

Fot. archiwum rodzinne Jubilata

Wyboru dokonał
Zbigniew Solarz



apteki. Równocześnie zlikwidowano Izby Aptekarskie. A ja właśnie sprowadziłem dużą dostawę towaru do apteki. Przyszedł w przeddzień i nie był nawet jeszcze do końca rozpakowany!

Po upaństwowieniu apteki podlegały nowopowstałym Centralom Aptek Społecznych. Nieco wcześniej do Przemyśla przyjechał z Warszawy przedstawiciel władz. Zaprosił mnie na rozmowę i za-

Pan Jan Kaczkowski

urodził się

26 stycznia 1907 roku.

W stulecie urodzin

redakcja

Aptekarza Polskiego

składa Jubilatowi

życzenia długiego

i szczęśliwego życia.